№ 21.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1841. Poznań, dnia 13. Października.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Małgorzata Wylej.

(Z angielskiego.)

Dawid Jarwys, bakalarz w ładnéj wiosce Kraytorf, siedział pięknego latowego wieczora przed drzwiami swojego domku; Małgorzata, córka jego, stała obok niego.

»Wszak się nie gniewasz na mnie, drogi ojcze,« rzekła młoda dziewczyna z bojaźnią — »wszak się nie gniewasz na twoją Małgosię, i pewno przebaczysz także Jasiowi Wylej.« Potém dodała z uśmiechem: »Bylibyśmy zbyt doskonałymi w naszym młodym wieku, gdybyśmy posiadali roztropność starych.«

»Moje dziecko, wiek sprowadza zmarszczki, tak jak jesień liść suchy, ale roztropność nie zawsze przychodzi z latami. Wszakże, moja Małgosiu,« dodał z dobrocią — »nie powinnaś się tém trapić, ja ci przebaczam.«

»A Jasiowi, ojcze!«

Bakalarz rzekł, kiwając głową: »Z wszystkich dzieci, którem wychował, on mnie najwięcéj nabawiał kłopotu....«

»Ale mój ojcze, Jaś już nie dziecko; przecież on doletni!«

»Témci gorzéj!... Majster jego Mateusz Grymszaw skarzy się, że więcéj mu mahoniu zepsuje, niż wszyscy jego czeladnicy razem. Sama o tém dobrze wiesz, że pulpit, który mi podarował na gwiazdkę, rozleciał się na drugi dzień.«

»O mój drogi ojcze! bo się tak mocno na nim oparłeś!... a od tego czasu, nie zrobił ci on prześlicznéj linii z drzewa wiśniowego?«

»Dobrze wiem, moje dziecko, że on złym nie jest; ale na nieszczęście, dobroć nie jest dostateczną dla zapewnienia szczęścia, trzeba do tego posiadać czynność i rozwagę. Obawiam się, Małgosiu, czyś się ty nie za bardzo zakochała w tym Janie Wylej, boć ty wszystko inaczéj w nim widzisz, niż ja. O! dałżeby był Bóg, żeby twoja biedna matka jeszcze żyła! ona miała daleko więcéj znajomości świata niż ja, i jéj rady byłyby dla ciebie skuteczniejsze niż moje, a jednak nie mam sobie nic do wyrzucenia, bom nic nie zaniedbał dla wpojenia tobie dobrych uczuć i trwałych zasad cnoty.... aleć ty też jesteś pociechą twego starego ojca Małgosiu, i Bóg cię błogosławić będzie, boś dobra dziewczyna, choć trochę uparta kiedy chodzi o Jana Wylej. Ale, patrzno! otóż i on idzie przez tę łączkę; może mi pulpit sporządzi.«

»A więc mu przebaczasz, ojcze?«

»Co mu przebaczyć?... Ej, ja już zapomniałem, żem się na niego gniewał.«

»Kochany ojcze!« rzekła Małgorzata, czule go uścisnąwszy, błogosławiąc w głębi duszy téj krótkiéj pamięci.

Bakalarz sprawiedliwie wyrzekał nad stratą żony, gdyż on tylko te nauki umiał udzielać córce, które ją oddalały od gospodarskich zatrudnień, lecz Małgorzaty przywiązanie do ojca, chęć zapewnienia mu życia swobodnego, uczyniły z niéj czynną i skrzętną gospodynię, po niejednych przygodach, od których doświadczenie matki byłoby ją ochroniło. Szczególniéj w przywiązaniu do Jana Wylej trzeba było jéj być kierowaną przez kogoś więcéj doświadczonego, aniżeli nim był Dawid Jarwys. Podobne spory często zachodziły między ojcem a córką, i za każdym razem starzec bojąc się przekroczyć granice łagodności, kończył sam na uniewinnianiu Jana Wylej. Nie wiedział bowiem, iż ten sposób prowadził go zupełnie

dokąd inąd, niż sobie założył, i że zapał, z jakim córka broniła młodzieńca, utrwalał tém bardziéj miłość, którą ku niemu była powzięła, tak dalece, że nakoniec chęć widzenia Małgorzaty szczęśliwą, odniosła zwycięztwo nad roztropnością starca i nad obawą, jaką obudzała lekkomyślność Jana — zezwolił na ich zamęście.... Ale w sam dzień, w którym Jarwys poprowadził córkę do kościoła, wszystkich przytomnych uderzył głęboki wyraz smutku, który się malował na twarzy ojca, oddającego los jedynego dziecka w ręce człowieka młodego, przystojnego i posiadającego piękny kawał chleba, lecz ten smutek przypisywano osieroceniu, w jakiém miał się ujrzeć biedny starzec, skoro Małgorzata opuści dom rodzicielski.

»Na cóż się tak spieszysz żono?...« zapytał się razu jednego Jan Małgorzaty, krzątającéj się, ażeby wszystko porządnie poustawiać w szczupłém ich zamieszkaniu. — Małgorzata za jedyną odpowiedź wskazała na zegar, stojący na kominie.

»Tak, widzę, że późno,« odpowiedział — »ale cóż z tego? dziś niedziela, a kiedy kto się cały tydzień napracował, może przecież w niedzielę odpocząć.«

»Ale, Jasiu, czy ty nie słyszysz?...«

»Co?!«

»Dzwonów!... Spieszmy się, bo za późno przyjdziemy do kościoła, a to nie będzie dobrze.«

»A więc będzie źle, bo co ja, to nie mam żadnéj ochoty dziś pójść do kościoła.«

»Mój drogi! czyś chory?...« zapytała się go Małgosia troskliwie.

»Nigdym nie był tak zdrów jak dzisiaj; no, i cóż tak dziwnego, że mi się nie chce iść do kościoła?«

»Jasiu! przecież nie zechcesz, ażebym sama szła.«

»Możesz wcale nie chodzić. Nie mam nic przeciw temu, kiedy pogoda, ale całą noc padało.«

Małgorzata zbladła, nic nie odpowiedziała, zarzuciła salopę i wyrzekła: »Do zobaczenia Jasiu!« — Była smutną, bo pierwszy raz mąż nie towarzyszył jéj do kościoła, i okazywał obojętność w obowiązkach religijnych. To odkrycie głęboko zraniło serce Małgorzaty. »A więc mnie w tém zawiódł!« pomyślała sobie — »kto wie, może i w czém inném....« Lecz gdy została matką, miłość ku dziecku, modły, które zasyłała do nieba za nie, nieraz wzruszyły Jana Wylej, ale to tylko na chwilę.

U ojca opływała we wszystkie dostatki; od czasu zamęścia dobry byt zniknął. On tak się opuścił, że mu nikt do roboty nie dawał; próżniactwo poprowadziło go do karczmy, tam się poznał z ludźmi zepsutymi, serce jego zatwardziało, spoufalał z występkiem, stygło w nim zwolna uczucie cnoty, zaczął od zaciągania długów, nie myśląc, kiedy je popłaci.

»Jak nazywasz ten chleb?« zapytał raz żony, rzucając na stół kawał chleba, któren mu ukroiła do wieczerzy.

»Jasiu,« odrzekła ze słodyczą Małgorzata — »tyś dawniéj ten chleb lubił....«

»Ale, przecież mąka w tymtu tak gruba!«

»Prawda, dostałam ją od ojca, bo....«

»Bo co!?«

»Piekarz często dopomina się o zapłatę, nie chciałam już pójść do niego bez pieniędzy.... Obiecałeś mi, że go jutro zaspokoisz.«

»Powiedz mu jutro, że dopiero za miesiąc dostanie pieniądze, a na teraz postaraj się o lepszą mąkę na chleb, bo wolałbym jeść trociny.«

»Kochany Jasiu! już doprawdy nie możemy odkładać zapłaty piekarzowi; zapewniłam go, że dług odbierze, boś tak mi przyrzekł. — Dzień i noc pracować będę, wszystko uczynię co tylko zechcesz, ale nie mogę być narzędziem oszustwa. Wstyd mi serce zakrwawia....»

»Szalona!...« odparł Jan, podnosząc ramiona — »i cóż wielkiego o kilka dni kredytu poprosić? Ludzie wyższego stanu dopiero wtenczas długi płacą, kiedy trzy miesiące w więzieniu posiedzą: i któż mi broni tak działać jak oni?«

Żona zbladła, potém się rumieńcem okryła i spojrzała na Jana wzrokiem, którego on znieść nie mógł. — »Jakto! tybyś łotrem został? palcem by cię wskazywano? Ach! jeżeli ci się zdarzyło coś takiego, że długów zapłacić nie możesz, niech to będzie twoja w tém wina lub nie, uskarżać się nie będę; weź moją pościel, weź suknię która mnie odziewa, przedaj wszystko, a do ostatniego grosza długi popłać; mogę pościć, pracować, żebrać nawet, ale tegobym znieść nie mogła, aby cię łotrem nazywano, i dzieci nasze za dzieci złodzieja miano.« Przyciskając wtenczas syna do łona, rzuciła się do szyi męża i łzami go oblała. »Ale, ty tego nie chcesz Jasiu,« dodała ocierając łzy rzewne — »tyś tylko tak mówił, chcąc mnie doświadczyć; przestań już tak gorzkiego żartu i zaręcz mi, żeś nigdy nie miał zamiaru tak postępować.«

»Ale na Boga! ileż to hałasu za jedno słowo wyrzeczone! Doprawdy, Małgosiu! nigdybym nie sądził, żeś tak nierozsądna. Uspokój się, to tylko żarty....«

»Dziękuję ci, mój drogi, dziękuję! Więc zapłacisz piekarzowi jutro?«

»Nie.... Byłem przymuszony wydać na co innego pieniądze dla niego przeznaczone — a z tém wszystkiém nasz Antoś nie może jeść téj mąki; pie-

karz musi jeszcze na kredyt dawać, albo też pożycz pieniędzy od ojca.«

»Ani jedno, ani drugie być nie może,« smutnie odpowiedziała Małgorzata — »piekarzowi obiecałam oddać jutro com winna, a mój ojciec nic nie posiada, oprócz małéj sumki, przeznaczonéj na kupienie ciepłego odzienia na zimę. — Ale słuchaj, Jasiu, moja suknia jedwabna już jest zbytkiem na nasze dzisiejsze położenie; znam kobietę, która ją chętnie kupi — pozwól mi ją przedać, a ja ci się równo będę w płócienkowéj podobać, gdy pomyślisz, żem słowa dotrzymała.«

Cnota ma w sobie coś tak pięknego, tak uroczego, że nawet i występni uwielbiać ją muszą. — W téj chwili Jan znalazł żonę piękniejszą niż kiedykolwiek, i z prawdziwém uczuciem uwielbienia uściskał ją mówiąc: »Niech cię Bóg błogosławi Małgosiu! nie jestem godny być mężem anioła, jakim ty jesteś!«

Kilka lat upłynęło; więcéj dzieci przybyło, a Jan coraz bardziéj brnął w występki. Ładna chatka, miły ogródek, i warsztat nawet, przeszły na własność innego, pracowitszego człowieka. Nie wiedziano, gdzie się Jan tuła; na kilka miesięcy znikał, a cel tych wędrówek był tajemnicą nawet i dla żony. Czasem wracał w nowych dobrych sukniach, kieszenie pełne pieniędzy, które lekkomyślnie rozdawał między dzieci, ale częściéj wracał do domu zgłodniały, znędzniony, w łachmanach. Małgorzata go natenczas pracą rąk swoich wykarmiła, w nowe otuliła suknie, a on znów odchodził, nie mówiąc dokąd.

Tego dnia, kiedy Małgorzata sprzedała suknię jedwabną dla zaspokojenia piekarza, czuła, że cały ciężar trosków domowych spadł na nią; mimo to nie traciła serca, szukała sposobu zarobienia i pracowała gorliwie. Nadzwyczajny porządek panował w ubożuchném jéj mieszkaniu, dzieci starannie chowane — mimo ubóstwa, rzetelność jéj w dotrzymywaniu danego słowa, uchodziła za przysłowie w Kraytorfie. Nigdy skarga z ust jéj się nie wycisnęła, cnoty jéj zdawały się rość w miarę trudnych okoliczności, w których się znajdowała. Choć tak naganném było postępowanie Jana, umiała je pokrywać, niechcąc poniżyć męża w oczach dzieci. Przyjaciele nawet wymawiali jéj zbyteczną ochronę człowieka, który był przyczyną tylu zgryzot. »Cóż chcecie?« odpowiadała na te zarzuty Małgorzata — »wszakże on moim mężem, ojcem moich dzieci.... Nie mogę go opuścić!«

Czasem też pocieszała się niebytnością męża, myśląc, ileby przykład jego był szkodliwym dla dwóch synków, zwłaszcza dla starszego. Antoś bardzo był podobnym do ojca, te same okazywał skłonności, stał się przeto przedmiotem najstaranniejszéj pieczołowitości matki; usiłowała zatém wpoić w niego mocną bojaźń Boga i zamiłowanie pracy. Jeżeli ją czasami zaspokajało przywiązanie, jakie do niéj okazywał, niedługo potém wpadała w nowe obawy, myśląc, że nikt jéj nie dopomaga; bo nawet stary Jarwys, który nigdy nie był ostrym, wiele słabości dla wnuka okazywał. — Ryszard było na imię drugiemu synowi Małgorzaty; ten, słabego będąc zdrowia, mało brał udziału w zgiełkliwych zabawach brata; wolał towarzystwo małéj siostrzyczki Joasi.

Aczkolwiek Małgorzata wiedziała, ile Antoś tracił czasu u dziadunia, nie śmiała dotąd jeszcze napomknąć o inném zatrudnieniu, bojąc się zasmucić biednego starca, który wszystkie nadzieje pokładał w bystrości rozumu tego dziecka; ale skoro Antoś dwanaście lat był zakończył, a bogaty ogrodowy ofiarował się wziąść go do siebie na naukę, Małgorzata chciała przygotować zwolna ojca do rozłączenia się z wnukiem. Stary Jarwys tak już był zwątlał na siłach umysłu, że ani wiedział o nieszczęsném położeniu córki, i ani się domyślał, że zaszła odmiana w życiu Małgorzaty — niebytność zięcia mało go też obchodziła, i często powtarzał, że zawczasu wiedział, iż z niego nic dobrego nie będzie. Małgorzata z swéj strony unikała skarg, zwłaszcza w przytomności ojca, nie chcąc zatruwać mu ostatnich chwil życia opisem zgryzot, którym nie mógł zaradzić. Z mocném biciem serca oznajmiła ojcu o zamiarach ogrodowego, i tak, jak przewidziała, Jarwys mocno się zmartwił zamiarem, który podług niego niweczył całą przyszłość ulubionego wnuka. »Małgosiu! zadam mu tyle pracy, ile będziesz żądać; ale cię zaklinam, córko moja, pozwól, ażeby do szkoły przychodził; on jest przecież moją ostatnią pociechą. Straciłem twą matkę, potém tyś mnie opuściła, jeżeli mi jeszcze weźmiesz Antosia, czuć będę gorszą niedolę, niż Jakób kiedy Józefa postradał.« Małgorzata obiecała jeszcze nad tém pomyślić, i wróciła do siebie.

Wchodząc do domu usłyszała głos dobrze jéj znany, i zadrżała — był to głos męża: stał przy ogniu, blady, włosy w nieładzie, odzież podarta, okazywały najokropniejszą nędzę. Mała Joasia spoglądała z daleka na niego, i nie śmiała się do ojca zbliżyć. Słysząc Małgorzatę wchodzącą do domu, Jan poszedł naprzeciw niéj; spostrzegła, że on boso, z zakrwawionemi nogami. Na ten widok o wszystkich zapomniała wyrzutach, pomyślała tylko, że on jéj mężem i do tego nieszczęśliwym.

Tym razem jeszcze Jan Wyle zdawał się być rozczulonym dobrocią żony, obiecał jéj się wytłumaczyć z swego życia ale w kilka dni potém wrócił

do dawnych nałogów, i groźno odpowiadał na zapytania Małgorzaty. Surowym się okazywał dla dwóch młodszych dzieci, a pobłażał bez miary starszemu; zawsze go z sobą wyprowadzał, mówiąc, że go chce zabawić, i nauczyć do wróbli strzelać. Jednego razu Antoś przyniósł matce zająca, którego był na cudzém polu zabił; Małgorzata tyle miała odwagi, że odmówiła mężowi i synowi dać go na stół.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Towarzystwo naukowéj pomocy.

Zawiązało się w Poznaniu towarzystwo naukowéj pomocy, na zasadach, które niżéj przytoczone ustawy opiewają. Rzecz z siebie zbyt ważna, by nie miała zająć całéj uwagi naszéj. Po raz pierwszy podobno zwróconą została uwaga na tę prawdę socyalną, że naród każdy w łonie swojém mieści wszystkie nasiona duchowéj swojéj potęgi i wielkości, ale że massa ludu, będąc jako niwa dziko porastająca, okrywa się chwastem i mchem, z pod którego przygniecione ziarno talentu nie zejdzie. Jeżeli u nas między stu tysiącami ludności, tysiąc zaledwie podnosi się do dobrego bytu i oświaty, i ma środki do rozwijania przyrodzonych zdolności swojego potomstwa, przyjąć trzeba, że z dziewięćdziesięciu i dziewięciu części całego narodu, giną i marnieją przez niedostatek i zaniedbanie talenta narodowe. Co jest krzyczącém zmarnotrawieniem bogactw ojczystych umysłowych, nierozsądném zakopaniem zdolności przyrodzonych, któremi natura, mianowicie lud polski, hojnie obdarzyła.

Kiedy tak dzikości natury zostawione było staranie o swoich roślinach, nie dziw, że tak mało mieliśmy z nich pokarmu, kiedyśmy ich potrzebowali, i że trzeba było porówno ze złych, jak z dobrych wyciskać soki; nie dziw, że na tak niskim stopniu u nas przemysł, rólnictwo i rękodzieła, nie mówiąc o wyższéj oświecie; że nie ma rozwiniętych bogactw narodowych, że lud z długiéj wyjść nie może nikczemności, a handel i przemysł, i pożytki z nich są w ręku obcych.

Brak oświecenia po miastach i miasteczkach, kilka może miast większych wyjąwszy, jest zastraszający. Bez znajomości obowiązków względem siebie i drugich — jak powiada S u r o w i e c k i — bez wyobrażenia o pożytkach i sposobach zatrudnienia się przemysłem, do czegoż człowiek może się podnieść? Dopóki mu wystarczą szczupłe przypłodki mizernego rólnictwa, i wytargowany szeląg z wyszynku, żuje go w obojętności z założonemi rękami; a gdy tego zabraknie, bierze się do kija. Wszakże jedna szkółka mądrze urządzona, jeden warsztat biegłego rzemieślnika, zmienić może smutną postać takiéj mieściny.

Ten bolesny obraz kraju naszego, i ten łatwy środek zaradzenia takowemu, jaki już od lat 30 podał uczony i gorliwy autor dzieła o upadku przemysłu i miast w Polsce, miała snać dyrekcya zawiązanego towarzystwa na uwadze, i połączonemi siłami mieszkańców postanowiła przynajmniéj w téj części dawnéj Polski, pod protekcyą światłego rządu, zmienić na lepszą stan rzeczy.

Tam w gminie, w tych massach ludu prostego, tak niesłusznie że nie powiem niepoczciwie tym materyalnym wyrazem ochrzconego, tam konwencya francuzka wydobywała swoich jenerałów. Tam i towarzystwo szuka przyszłych silni narodowego przemysłu i narodowéj oświaty. Sprawiedliwsza i wyrozumialsza potomność chce się wywiązać temu ludowi, z którego pracy żyje, i zatlić na jego dotychczasowéj ciemni światła mnogie, aby przyświecając krajowi, przyświecały i jemu, i gmin się uzacnił w mężach gminu; — chce się wywiązać ojczyznie, któréj wszyscy porówno jesteśmy synami, a przecież większą część jéj potomstwa nie bratnią obejmowaliśmy miłością; — chce się wywiązać nakoniec Bogu, który tak hojnie uposażył lud polski w znakomite przymioty ducha, a myśmy z tego daru bożego korzystać nie chcieli. Zdolności nasze, jak ziemia Polski. Czy to na Żuławach, czy Kujawach, czy Sandomierzu, czy Ukrainie, wszędzie siéj pszenicę. Jak Polska stała się dla téj płodności ziemi śpiżarnią Europy, tak dla płodności ducha mogłaby była się stać szkołą Europy. A gdzie nas tu zostawiły inne narody?

Czas, czas, byśmy się spostrzegli, i dzięki towarzystwu naukowéj pomocy, że nas budzi z długiego letargu; że zaspanym wskazuje, jako słońce oświaty już wysoko na dniu; że nam przypomina, jak młodzianowi, któremu na zabawach wiek najpiękniejszy upływa, że idziemy w lata, a dziś jest czas szkoły i nauki. Co będzie z ciebie młodzieńcze, gdy nie korzystając z czasu młodości, dorośniesz i dojrzejesz w męża, i trzeba będzie zostać obywatelem, ojcem familii, członkiem społeczności? jak podołasz obowiązkom, które cię czekają?

Ocknieni i zreflektowani rzućmy się więc z całą gorliwością, z całym zapałem do dobréj sprawy i do naszego własnego interesu, do wielkiego dzieła odrodzenia przemysłu i oświaty. Rozwińmy myśl towarzystwa jak na najobszerniejszéj przestrzeni; dajmy mu środki do ręki, aby jak największéj ilości młodzieży zaniedbanéj nieść mogło naukową pomoc.

Nadewszystko wydobywajmy talenta i zdolności w ludzie ukryte. Bo jeden talent rozwinięty starczy za tysiąc głów miernych, a u nas rzadkie to meteory. Tak wspierając i szerząc usiłowania towarzystwa, możemy się już w lat kilka pięknych doczekać owoców.

STATUTA
Towarzystwa naukowéj pomocy
dla
młodzieży W. Księstwa Poznańskiego.

I. Cel i zakład towarzystwa.

§. 1. Wydobywać z mass ludu zdatną młodzież, a wykrywszy jéj talenta, obrócić ją na pożytek kraju, dając pomoc i stósowny kierunek jéj wykształceniu, jest celem zawięzującego się towarzystwa.

§. 2. Fundusze towarzystwa pochodzą z dobrowolnych składek i ofiar, które od każdego, w jakiéjkolwiek ilości przyjmowane będą. Towarzystwo uważać się będzie za istnące, skoro summa rocznych składek wynosić będzie tal. 2000.

§. 3. Każdy mieszkaniec W. Księstwa Poznańskiego, obowięzujący się do pewnéj rocznéj składki przez najmniéj 5 lat, jest członkiem towarzystwa.

§. 4. Członkowie opłacający rocznie najmniéj tal. 20, mają prawo obierać dyrekcyą.

II. O dyrekcyi.

§. 5. W dniu po walném zebraniu zbierają się członkowie, mający prawo obierać dyrekcyą, i obierają jednę trzecią członków dyrekcyi w miejsce losem wyszłych.

§. 6. Osoby, które projekt niniejszy w życie wprowadziły, stanowią wyjątkowo skład pierwszéj dyrekcyi.

§. 7. Każdy członek bez względu na ilość opłaconéj składki, może być wybranym do dyrekcyi.

§. 8. Dyrekcya składa się z 9ciu członków, którzy przez pierwsze trzy lata bez zmiany urzędują; po upływie tego czasu występuje z niéj losem co rok jedna trzecia, a w miejsce téj wybiera walne zebranie nowych członków. Wylosowani członkowie mogą być na nowo obrani.

§. 9. Pięć członków dyrekcyi stanowi komplet, a większość głosów rozstrzyga.

§. 10. Dyrekcya obiera z pośród siebie prezesa, który czynności i prace pomiędzy członków rozdziela i zastępcę swego mianuje. Urząd jego trwa dopóty, dopóki w składzie dyrekcyi zostaje.

§. 11. Dyrekcya zgromadza się dwa razy do roku w Poznaniu, to jest: dwa tygodnie przed Wielkanocą i 1go Września, a oprócz tego zawsze, gdy prezes uzna tego potrzebę.

§. 12. Dyrekcya mianuje komiteta powiatowe w miarę potrzeby. Urzędowanie ich trwa lat trzy z zastrzeżeniem, że dyrekcyi wolno jest takowe rozwiązać. Tudzież wybiera z członków towarzystwa kassyera i sekretarza. Dyrekcyi służy prawo w miarę potrzeby i w nadzwyczajnych przypadkach zawezwania jednego lub więcéj członków z komitetów powiatowych do narad dyrekcyi i wtenczas z prawem głosowania.

§. 13. Prócz sekretarza żaden urzędnik towarzystwa nie jest płatny.

§. 14. Dyrekcya ogłasza co rok przez pisma publiczne sprawozdanie z swoich czynności i bilans dochodów i wydatków.

III. O walném zebraniu.

§. 15. Wszyscy składkujący stanowią walne zebranie, które pierwszy raz zbierze się za lat 3, późniéj co rok na Śty Jan.

§. 16. Walne zebranie obiera sobie prezesa i sekretarza. Prezes zagai sessyą, zawezwie dyrekcyą do sprawozdania i wyznaczy trzech członków do przejrzenia rachunków.

§. 17. Gdyby dyrekcya lub $\frac{1}{3}$ część obecnych w zgromadzeniu członków uczyniły wniosek o zmianę statutów, walne zebranie przystąpi do rozpoznania, czyli zmiana jest potrzebną.

IV. O komitetach powiatowych.

§. 18. Obowiązkiem komitetów powiatowych jest, starać się o powiększenie liczby członków towarzystwa, ściągać od nich składki i takowe na ręce kassyera przesyłać, mieć w pieczy szkółki wiejskie i miejskie w powiecie znajdujące się, podawać dyrekcyi w téj mierze stósowne wnioski, a młodzież odznaczającą się polecać dyrekcyi.

V. O członkach.

§. 19. Składki zapisane opłacają się rocznie z góry na Ś. Jan Chrzciciel. Wolno atoli opłacać je w dwóch równych ratach na Śty Jan i na Boże Narodzenie. Nieuiszczającego się w 14 dni po upłynionym czasie zawezwie dyrekcya, a w razie uchybienia wyznaczonego przez nią terminu, ściągnie od niego składkę przez pocztę. Członek nie przyjmujący zaliczenia pocztowego, zostanie z towarzystwa, po poprzedniém uwiadomieniu, wykreślonym i w pismach publicznych ogłoszonym.

§. 20. Każdy członek obowiązany jest pracować ku dobru towarzystwa i wypełniać polecenia dyrekcyi lub komitetu, odwiedzać szkółki wiejskie lub miejskie w czasie examinów w nich odbywających się, dawać opinią o postępie dzieci uczęszczających do szkół i starać się o to, aby dzieci osób od

nich zależnych pilnie do szkół chodziły, odkrywać tamże subjekta odznaczające się pilnością i zdatnością i takowe polecać komitetowi.

VI. Szczególne przepisy.

§. 21. Wsparcie pobierać tylko może młodzież W. Księstwa Poznańskiego. Do przedstawień w tym celu uczynionych należy dołączyć metrykę, zaświadczenie szkolne, atest ubóstwa młodzieńca lub osób, które do utrzymania go prawem są obowiązane. W braku atestu poświadczy komitet powiatowy ubóstwo, skoro mu jest wiadome, lub potrzebnéj w téj mierze zasiągnie informacyi.

§. 22. Polecony młodzieniec winien mieć najmniéj 10 lat, posiadać nauki elementarne czytania, pisania i rachowania, i znać oba języki przynajmniéj w takim stopniu, iż w ciągu nauk douczyć się może tego, czego mu w jednym z tych języków nie dostaje. W braku świadectw wiarogodnych winna dyrekcya dokładnie się przekonać przez odbyty z młodzieńcem popis, do którego wyznaczy jednego lub kilku członków ukwalifikowanych.

§. 23. Dyrekcya udzielać będzie wsparcia w gotowiznie lub w rzeczach, np. w sukniach, książkach i innych do nauki potrzebnych przedmiotach, bez względu na zawód, do którego się młodzieniec sposobi, byleby ten był użyteczny. Może ona je atoli odebrać, skoro wspierany przez niemoralne postępowanie i niepilność niegodnym się jego okaże. Z powodu tego dyrekcya mieć będzie pod pilnym dozorem młodzież przez towarzystwo utrzymywaną i tym końcem winna w ciągłych zostawać stósunkach z ich nauczycielami i przełożonymi.

§. 24. Po ukończoném wychowaniu lub nauce postara się dyrekcya o przyzwoite umieszczenie młodzieży przez towarzystwo utrzymywanéj.

Wyimki z listów moralnych, ukształceniu młodéj kobiety poświęconych.

Przez Julią T.....

(Ciąg dalszy.)

Kochana Olimpko!

Byłam wczoraj na Kaźmierzu — mam świeży obraz téj brudnéj mieściny przed sobą — muszę ci więc kilka słów o niéj powiedzieć. Znasz ledwie z opisu to nieochędóstwo żydów, które tak trafnie maluje Niemcewicz. To fraszka widzieć wśród katolickiego miasta ich ulicę jaką, to tylko mała, licha próbka tego, co żyd potrafi. — Zajrzyjno do ich Jeruzalem, do ich błogosławionéj ziemi; to się za głowę weźmiesz — tu porządek, ochędóstwo, jako zupełnie bezużyteczne, nigdzie nie postoją. Na żadnym progu nie domyślisz się działania miotły, na żadném oknie wpływu wody. Mieszkania i sklepy są prawie jedno i to samo — oni swe całe życie pędzą wśród cuchnących skór, podeszew, beczek śledzi, obok obwarzanków, magagigów, zgniłych cytryn, pomarańcz, świec, mydła, łoju, pieprzu, gęsi, półgęsków, kur i t. d. O sto kroków już cię zalatuje właściwa im woń, ten wyziew cebulki, czosnku, dziegciu, baraniego smalcu, potażu — co razem zebrane, tworzy gęstą mgłę, która ci na piersiach lagrem osiada, w gardle drapie, w nosie kręci i oczy gryzie. Powiesz, że przesadzam — wcale nie, pójdź tylko kiedy na ten prawdziwy Kaźmierz, zwany długą ulicą. Wzdłuż drogi płynie sobie wspaniałe posuwiste błoto, złożone z Bóg wie jakich części — wysycha ono zwykle tylko w Lipcu i Sierpniu — zresztą jest nieodstępnym towarzyszem brodatych żydków. Otóż na tém tle błota i śmieci rysują się sklepy, każdy z swojém godłem — jedne z nich malowane, a większa część w naturze. Tu wisi pąsowa krakuska z srebrzystą nędzą, tuż koło niéj wytarty jaki frak granatowy, czarny na kołnierzu, a popielaty na łokciach — co to on figur zdobił, co to on ścian powycierał, nim się dostał na te drzwi potulnego Izraelity.... daléj bóty trochę przechodzone, tém wygodniejsze, nie będą cisnąć, łatwiéj dadzą się przebić słomianym ostrogom. Co tu wyliczać; tu wszystkiego dostaniesz, tylko zapragnij — stare pogniecione szapoklaki, czépki, co tam jakąś koronacyą i dwa jubileusze pamiętają, patrzą na ciebie miłosiernie, prosząc, byś je uwolniła z téj nadpowietrznéj niewoli. Jest tu i bielizna do nabycia dla każdego wieku i stanu, jak to świadczy koszula szaro-biała. To nie wszystko — tam daléj powabne kramiki, strojne w rozmaite świecidła, wyciągają do ciebie ramiona. W nich znajdziesz wszystko — od składanego nożyka za grosz, aż do malowanéj tabakierki za półzłotego. Towar sam wie, jak i do kogo ma się uśmiéchać — bogate taśmy, szklanne paciórki kolorowe, wstążki błękitne, żółte, ponsowe, mrugają na dziewczyny — cybuchy, kapciuszki, fajki, krzesiwka, hupka, na parobków — batogi suną się pokornie do nóg panów ekonomów — laseczkę próbuje fircyk czeladnik, czy mu się nie złamie w swobodny blaumontag — tam znowu w głębi sklepu wiejskie kobiety targują perkal na spódnicę, i chustkę na głowę; żydówka je drze jak może, ale im powiada, że tylko dla nich tak tanio przedaje — one się tém cieszą — poczciwe dusze!.... ostatni grosz wyciągnęły ze skrzyni, a może ostatnią kurę sprzedały — ale próżność i do wiejskiéj szatni już zaszła; subtelna ta zaraza niczém nie da się wstrzymać. —

Chcesz już wracać; dosyć ci tego, powiadasz — ej, idź daléj: przypłacisz to wprawdzie katarem dwutygodniowym, ależ ciekawość czasem daleko więcéj kosztuje. Idźmy daléj — widzisz te brudne poufałe kosze, jak sobie stoją na drodze, ani myślą ustąpić, choćbyś łajała; nie trąć żadnego, broń Boże! wysypałyby się w rynsztok paradne śliwki, gruszki suszone — nie można ich wprawdzie rozeznać od węgli lub trzasek, nie skosztowawszy; za to téż smak lepszy, kiedy okryty choćby tylko kurzem, błotem i popiołem; — a te orzechy dziurawe, trzechletnie, ten groch, bób gotowany, te ziemniaki, jabłka, gruszki pieczone, co się potrącają na brudnych sękowatych pękniętych nieckach; a te jagody w koszyczkach od śmiecia czy nie pędzą ci do ust ślinki? — plujesz, no, to bardzo miłe wrażenie. — Nie dość na tym targu stojącym, nieruchomym. Jest tu inny, żywy, chodzący, wrzawliwy — są to dziewczęta żydowskie o długich czarnych lokach, z pod których wyglądają wisiorki ołowiane: te cię szarpią za chustkę, za suknią, za pelerynę, za cokolwiek bądź uchwycą, a wrzeszczą: »No, co pani trzeba? czy kołdry, czy rękawiczek, czy tułów koronkowych, czy wstążek w przednich gatunkach, czy płótna, katunu? — nu, herste! mamy nowe towary.... nu, czemu się pani gniewa? co to takiego? aj waj mir, groisse purim!« Nietylko, że cię naszarpie, ale się obraża, jeśli niegrzeczna mniéj dbasz na jéj zaprosiny. Z boku zastępuje ci drogę chodząca tandeta: kamizelki, pończochy, szkarpetki, pantofle, parasoliki, miednice, zwierciadełka, flakoniki, koszyczki, wszystko na twoje rozkazy, na twoje usługi, za pomierną cenę. — Zresztą cała widownia jest zapchana ludźmi różnego stanu i wieku. Jedni dobijają targu, drudzy się kłócą, ci się szarpią, tamci się cisną — ten kupił tanio i rad że oszukał żyda, a żyd patrzy za nim z półuśmiechem, mówiąc do swojéj siory: »głupi goj!...« Są tu i bezczynni widzowie, co przyszli tylko dla rozrywki, ot tak sobie przez ciekawość, jak my teraz. — Oto masz słaby obraz Kaźmierza, długiéj ulicy błogosławionego miasta, obiecanéj ziemi. Dodaj do tego wyziew wódki, która z szynkowni i z zapyrzonych gęb bucha jak z kufy, a poznasz, jak ścisłe stósunki alembikowe wiążą nasze prostactwo z żydostwem. Wszyscy powstają na żydów, nikt im nie chce wierzyć, każdy ich posądza o kłamstwo, chytrość, obłudę, a nikt nie pomni na to, że poniżenie moralne jest skutkiem pogardy, w jakiéj to plemie od wieków zostaje. Popychane z kraju w kraj, z kąta w kąt, przybrało na się wszystkie barwy tułactwa, zaopatrzyło się bronią niewoli: kłamstwem, wybiegami i t. d.

Co nam dwom rozumować nad tém — my jeszcze za młode do tak ważnych przedmiotów. Niech starsi ulepszają towarzystwo, niech wytępiają zepsucie — a nam dość, jak pójdziemy cicho, bez przechwałki, ich śladem.

Bądź zdrowa, przebacz mi tę nudną gadaninę, ten obraz powszedniego życia — odpłać mi wreszcie podobnym, a będę ci wdzięczna.

Twoja...... —

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Dokładna znajomość. Humboldt opowiadał przed niedawnym czasem w Paryżu śliczną powiastkę o amerykańskich ludożercach. Miał zwyczaj zwiedzać w swych podróżach po Ameryce pustynie; dnia jednego siedział obok Indyanina olbrzymiéj postaci, który przed niedawnym czasem został chrześcijaninem, zapytał go przeto: »czy nie znałeś biskupa z Quebeku?« — »Czy go znałem!« odrzekł zapytany — »dziwne pytanie — ja go zjadłem wespół z moimi towarzyszami.«

Szczególniejsze małżeństwo. Żebracy w Normandyi upowszechnili między sobą szczególniejszy rodzaj zawierania związków małżeńskich. Młody żebrak szuka młodéj dziewczyny i zapytuje ją, czyli chce zostać jego pomocnicą. Jeżeli na to zezwala, przystępują oboje do uroczystych zaślubin. Wsadzają kurę w garnek i gotują. Po ugotowaniu, rozbija narzeczony swym kijem ten garnek. Małżeństwo na tyle lat zawiera się, na ile garnek roztrzasł się skorup.

We Francyi wprowadzono nowy rodzaj ziemniaków, który nadzwyczaj sławią z dobrego smaku i zowią go dla małości »groszkiem ziemnym«; największe nie przechodzą wielkości orzecha laskowego.

Moda chwytająca wszystkie przedmioty pod swoje panowanie, upowszechniła teraz w Paryżu tak zwane »Abd-el-Kadera zębodłuby.« Są to małe srebrne puginały, których ostrze ze stali, a pochew srebrna. Mężczyzni noszą te narzędzia śmierci w kieszeniach, damy zaś za gorsem, zkąd tylko trzonek misternéj roboty wygląda.

Hrabia Oxford i tancmistrz. Francuzki tancmistrz zapytał razu jednego przyjaciela swego, czy prawda, iż Harleya mianowano hrabią Oxford i lordem skarbu angielskiego. »Tak, to jest prawda,« odpowiedziano. — »To mnie bardzo dziwi, tego człowieka miałem dwa lata pod moją ręką, a nic z niego nie mógłem uczynić.«

Potęga miłości. Potęga miłości, opowiada Brantome, nie może więcéj dokazać, jak na moim znajomym, który się zakochał. Polubił on pewną damę, która mu nakazała milczenie, bo był wielkim gadułą. Dwa lata nie mówił ani słowa, nawet jego najlepsi przyjaciele rozumieli, że oniemiał. Jednego dnia nakoniec, w liczném gronie przyjaciół pochlubiła się taż dama, że potrafi go uzdrowić i rzekła do niego: »mów pan!« Jak się samo przez się rozumie, odzyskał mowę, a w nagrodę otrzymał rękę pokochanéj damy.

Sławny tunel pod Tamizą w Londynie prawie już dokończony. Budowniczy jego, Brunel, przeszedł go od jednego do drugiego końca. Pozostaje jeszcze 25 stóp do wymurowania.

Jak gazeta jedna londyńska donosi, umiera co rok z głodu w Londynie przeszło dwieście osób.

Mody. — Paryż, dnia 2. Pździern. 1841. Z mód jesiennych nie wiele możemy donieść, jedne tylko peleryny upowszechniają się, będąc oddawna w zaniedbaniu. Z początku robiono je małe, teraz, kiedy się zdają podobać, rozszerzają się ich wymiary i używają do sukien jedwabnych; moda ta przejdzie zapewne i do aksamitnych.

Po wsiach nie ubiegają się teraz za klejnotami, nawet korale nie dosyć wydają się być pojedyńczemi. Dziwne nowości przecie powstają w krojach starożytnych. Otwarte suknie, owisłe rękawy, chusteczkowe kołnierzyki, czepki z skrzydłami motylowemi, wszystko to wyszukują i odświeżają w pamięci. Zespolenie niektórych tkanin bardzo mi się podobało; suknia otwarta, w paski, na spodnicy lśniącéj, lub suknia lśniąca na pojedyńczéj spodnicy, w jednym z tych dwóch kolorów.

Muślin cętkowany na kolorowéj kitajce, muślinem także orzucony, wybornie wygląda.

Ranny negliż. Szlafroczek batystowy w lilijowe malenkie kwiatki, orzucony trzema małemi falbanami ufestonowanemi; buchasta chustka linonowa, czepek z tulowych koronek, upięty po obu stronach małemi lilijowemi i fijołkowemi pomponami. Rękawiczki bez palcy z białego tybetu. Pantofle z lilijowego kaszemiru.

Negliż na wyjście. Szlafroczek z jednokolorowego szarego dreliszku, stanik z wyłogami zapiętemi na guziczki, otwarty aż do przepaski, tak iż widać półkoszulcze batystowe z fałdowanego batystu; bardzo obszerny powłok, trzema rzędami guzików nakształt fartuszka ozdobiony. Szal z białego barežu, kapelusz słomkowy wstążkami wązkiemi z aksamitu czerwonego zdobny, biała mała zasłona.

Toaleta na wyjście. Suknia bareżowa, szal długi z muślinu indyjskiego orzucony koronką paryzką i marselinem podszyty w kolorze przeważającym w sukni. Kapelusz z białéj krepy z długiém piórem.

Toaleta na wieczory. Suknia z blado-zielonego tarlatanu, w słupki utworzone z kwiatów biało haftowanych, canezou głęboko wycięty, strój włosów czerwona naturalna dalhia, klejnoty z koralowych kamei. Wachlarz. Bukiet.

Dla młodych panienek. Suknia na wyjście z zielono i lilijowo kratkowanego poux de soie, szal długi z białego jedwabiu. Kapelusz ryżowy z małą girlandą małych kwiatów u brzegu obwodu, także wianek rozdziela głowę od kapelusza i słania się aż do wstążek białych do zawięzywania, gładkie ukosy, zdobne malenkiém kwieciem. — Ubiór po domu. Suknia z kwiecistego chiné w łagodnym kolorze. U dołu kilka ukosów, które się kończą podobnie jak inne ozdoby we fręzle. Obcisłe rękawy z żokejami. Kołnierzyk batystowy. Fartuszek z poux de soie, otoczony fręzlą. Rękawiczki bez palcy, z cienkiéj kolorowéj skóry. Za strój głowy koronki i kokardki z wstążek, zdobiące włosy, bez ich zakrycia.

Objaśnienie ryciny.

1. Krótki surdut z kołnierzem szalowym, na biodrach klapki. Pantalony średnio obcisłe.
2. Biały kapelusz atłasowy, z szeroką wstążką, zdobny girlandą kwiecia. Szlafroczek z tkaniny prążkowatéj, stanik gładki, rękawy obcisłe. Wystrój szlafroczka szerokie bruxelskie koronki.
3. Kapelusz atłasowy z półzasłonką i kwieciem zdobny. Szlafroczek w mieniących kolorach z jedwabnéj tkaniny, stanik gładki. Szarfa aksamitna, sznurami i kutasami osadzona.
4. Kapotka z jedwabiu i koronki, bufkową robotą. Szlafroczek jedwabny w mieniących kolorach, stanik i rękawy na pół z organtyny. Z przodu u dołu pasamony drobne.
5. Kapotka jak u 4. Szlafroczek kaszemirowy, ze spencerkiem z haftowanego kaszemiru. Rękawy obszerne. Przepaska kolorowa o długich końcach, podobny krawat.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Brückner sc.